

KIJ W MROWISKU - LUBIĘ TO (CHYBA)

Sytuacja powtarza się co roku: 30 kwietnia wieczorem wysyłam swój PIT na pocztę główną. W tym roku doszedłem do okienka o 23.30. Podobnie było poprzednim razem. Ale już dwa lata wcześniej oddałem kopertę pięć minut po północy. Na szczęście pani z okienka zgodziła się nie zmieniać daty w swoim stempelku.

Może to trochę głupie, bo przecież można wysłać swój formularz wcześniej niż 30 kwietnia. A jeśli już w ostatni dzień, to przecież do 20.00 jest czynnych wiele urzędów pocztowych, jeden z nich nawet na moim osiedlu. Można też załatwić sprawę przez Internet, ale trzeba by pamiętać, jakie miało się przychody w zeszłym roku. Można to zrobić na dziesiątki sposobów, ale nie... ja muszę w okienku o północy. Czy jestem jakiś dziwny? Może trochę, ale w Łodzi podobnie robi kilkaset osób. Gdy przyjechałem na pocztę przy Dworcu Kaliskim o 21.30, w kolejce stało mniej więcej 300 osób. Gdy wychodziłem przed północą - kolejka wcale nie była mniejsza.

Dlaczego? To pytanie zadawałem sam sobie, czekając na możliwość wysłania listu do Urzędu Skarbowego, który zresztą ma u siebie wszystkie potrzebne dokumenty, by samemu sobie mój PIT wypełnić. Dlaczego tak późno? - pytał oczekujących reporter jakiejś gazety, robiąc przy okazji kilka zdjęć. Wbrew pozorom to dość ciekawe zagadnienie.

Dla reportera miałem przygotowaną odpowiedź oryginalną, choć nie do końca prawdziwą: czekam z PIT-em do ostatniej chwili, bo gdybym zmarł między 1 stycznia a 30 kwietnia, udałoby mi się wymigać od wypełniania tych bzdurnych formularzy. Nieboszczyków chyba nie ścigają za niewypełniony PIT (mam nadzieję, że wypełniać formularza nie muszą też spadkobiercy). Świadomość, że zmarnowałem 3 godziny z jednego z ostatnich dni mojego życia na takie pierdoły, nie dawałaby mi spokoju. W tym miejscu dodam, że formularz wypełniam ręcznie, a wszystkie kwoty podliczam na kartce, ćwicząc przy okazji umiejętności poznane w podstawówce (np. mnożenie pisemne), więc trochę mi to wszystko czasu zajmuje.

Tak naprawdę chyba po prostu tak lubię - to czekanie w grupie ludzi o podobnym temperamencie, te wspólne narzekania na biurokrację, tę manifestację niechęci do urzędów skarbowych (najbardziej w tym całym wypełnianiu wkurza mnie obecność dwóch rubryk koło siebie - najpierw trzeba podać datę urodzenia, a potem PESEL, bo przecież urzędnik nie potrafi z numeru PESEL odczytać daty urodzenia). Lubię więc stać sobie w tej kolejce i słuchać, co ludzie mówią. Co ciekawe: wydaje się, że wszyscy oczekujący nieźle się bawią. Wymieniają się informacjami, częstują papierosami, pożyczają długopisy i czyste koperty. Młody chłopak stojący cztery osoby wcześniej zaproponował nawet, że skoczy do sklepu po piwo. Znalazł kilku amatorów i atmosfera wkrótce zrobiła się piknikowa.

Zaczęły się historie z życia wzięte: Który telefon najlepszy i dlaczego? Po ile na Allegro można sprzedać stare nokie? Jak się dostać do wojska, gdy się nie ma znajomości? Głosować w wyborach czy może nie głosować? Potem było opowiadanie dowcipów (mało śmiesznych) i wspomnianie kolejek z PRL-u. To drugie bardzo śmieszne, bo analogię do kolejki po salceson za komuny odkrył chłopak mniej więcej dwudziestoletni. Od razu się jednak zastrzegł, że sam co prawda takich kolejek nie pamięta, ale opowiadała mu babcia (najukochańsza kobieta w jego życiu). Po rozmowach z babcią zadziwił wszystkich na lekcjach historii w swojej szkole zawodowej. I tak dalej...

PIT wysłałem, pozostało wrócić. Mniej więcej godzinę piętnaście szedłem ulicami mego miasta do domu. Pachniało wiosną, więc spacer był uroczy. Podobno przed wojną robotnicy, których nie było

stać na tramwaj, codziennie chodzili do pracy z Widzewa na Kaliski - opowiadała mi babcia. Mieli dużo czasu, bo nie wypełniali PIT-ów.